Rok XIV. We Lwowie, dnia 23. lutego 1906. Nr. 8.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 11 Kor.
półroczna . 6 „
kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. M. Sieniatycki, Kurkowa 5.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 20 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Memoryał ks. Arcybiskupa Symona

podany Ojcu św. Piusowi X.

o stosunkach kościelnych katolików Polaków w Ameryce.

Ojcze Święty!

Na ostatniej audyencyi, której Wasza Świątobliwość, wnet po moim powrocie ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, raczyła mi udzielić, miałem zaszczyt zdać Waszej Świątobliwości sprawozdanie, w którem, w krótkich słowach, naszkicowałem obecny stan katolicyzmu między moimi współziomkami Polakami, wychodźcami do tych krajów.

Aby przeto spełnić przyrzeczenie, uczynione wówczas w tamtem mojem krótkiem sprawozdaniu i by odpowiedzieć wyraźnemu życzeniu Waszej Świątobliwości, spełniam dziś zaszczytny dla mnie obowiązek, omawiając w formie nieco szczegółowszej i obszerniejszej to, co miałem już był zaszczyt ustnie pokrótce przedstawić.

Od roku 1870, emigracya Polaków do Stanów Zjednoczonych tak wzrosła, że dziś dochodzi do poważnej cyfry dwa i pół miliona. Ten lud, już z mlekiem swych matek wyssawszy uczucie religijne silne i niewzruszone, po opuszczeniu ojczyzny i przybyciu w te odległe krainy, gdzie wolność zupełna panuje, umiał skorzystać z tego daru wolności, aby publicznie okazać swoje stałe przywiązanie do rzymsko-katolickiego Kościoła. — I oto w krótkim czasie, niespełna 35 lat, stanęło przeszło 500 polskich kościołów w różnych środowiskach Ameryki północnej, a niektóre z tych świątyń, jak w Milwaukee, w Buffalo, w Chicago, w Erie, w Filadelfii, w Baltimore, w Brooklinie i w innych miastach, są prawdziwymi narodowymi monumentami i idą w zawody z największemi i najwspanialszemi katedrami Ameryki. Wszędzie ma lud polski szkoły elementarne pod kierunkiem Sióstr zakonnych zostające, aby młodzież utrwaliła się w wierze ojców i by wśród niezliczonych sekt religijnych umiała bronić i wysoko nieść sztandar Chrystusowy. W miastach głównych znajdują się kollegia szkół wyższych, aby młodzież polska, pragnąca wstąpić potem na uniwersytety amerykańskie, w których kierownictwo i wykłady powierzone są prawie wszędzie akatolikom, aby, mówię, nie dała się wziąć na wędkę bezbożnych myślicieli.

Szpitale, ochronki, schroniska dla starców i niezdolnych do pracy, oto dzieła humanitarne naszego ludu — wzniesione kosztem niezmiernych z jego strony ofiar.

Ale ten lud nie ogranicza się do budowania kościołów, szkół, kollegiów, ochronek, przytulisk i do zachowywania przykazań kościelnych, lecz korzysta z najmniejszej sposobności, aby dać wyraz swym uczuciom za pomocą manifestacyj religijnych, które to manifestacye w kraju, gdzie tyle przeróżnych wyznań się znajduje, wywierają głębokie wrażenie na innowiercach. A ja ku mojej prawdziwej i głębokiej radości widziałem, jak wielki jest religijny entuzyazm tego ludu, jak wielkiem jego do religii przywiązanie.

A jednak ten lud, który, począwszy od prezydenta Stanów Zjednoczonych do ostatniego urzędnika państwa, od kardynała Gibbonsa, do ostatniego biskupa, wszyscy uznają za uczciwy, pracowity, posłuszny miejscowym przepisom, religijny aż do entuzyazmu, ten lud polski, mówię, właśnie pod względem religijnym, znajduje się w porównaniu z innymi narodami w Ameryce zamieszkałymi — w warunkach nienormalnych.

Przedewszystkiem, po gruntownej analizie podnoszę, że istnieje wielka nieproporcyonalność między liczbą katolików Polaków i ich ilością kościołów i kapłanów z jednej strony, a ogólną liczbą katolików, kapłanów i kościołów w Ameryce z drugiej strony. W rzeczy samej cyfra wszystkich katolików Ameryki północnej, jakto się pokazuje z „Official Catholic Directory“ z r. 1905. wynosi 12,462.792; liczba katolików Polaków wynosi 2,500.000; z czego się pokazuje, że Polacy stanowią $^1/_5$ część wszystkich katolików Ameryki północnej. Ilość kościołów, już razem z kościołami zakonnymi, dochodzi do 11.387, kiedy

Polacy mają ich tylko około 500, t. j. $^1/_{22}$ część liczby ogólnej. Liczba kapłanów razem z klerem zakonnym, wynosi 13.857, a Polacy mają już razem z klerem zakonnym 560 kapłanów, t. j. zaledwie $^1/_{24}$ część liczby ogólnej. — Z tego wypada, że katolicy innych narodowości Ameryki mają przeciętnie jeden kościół na 915 wiernych i jednego kapłana na 762 wiernych, gdy tymczasem Polacy na 5000 wiernych mają jeden kościół i na 4464 wiernych jednego kapłana. Ta widoczna nieproporcyonalność wychodzi na szkodę narodu polskiego, tamuje rozwój katolicyzmu — a z czasem może sprowadzić oziębienie ducha religijnego w narodzie.

A nadto jest ta, bijąca w oczy, nieproporcyonalność, że kiedy nasz naród zadość czyni wszystkim dyecezyalnym i parafialnym ciężarom, mimo to lud razem z klerem doznaje nierównego traktowania na punkcie przyznanych mu praw.

Kler, który, jak widzieliśmy, w przeciwieństwie do kleru innych narodowości, musi spełniać swe kapłańskie posługi w parafiach bardzo rozległych i bardzo licznych, znajduje się w położeniu wyjątkowem, w porównaniu z proboszczami i rektorami kościołów innych narodowości. Ten kler zniesławiono, jakoby miał wielkie braki i co do wiedzy i co do obyczajów i co do spełniania swych obowiązków kapłańskich. Ta opinia przyjęła się u wyższych sfer kościelnych. Zarzucają, że Ameryka jest schroniskiem dla kleru leniwego, bez wykształcenia i że ten kler to wyrzutki kleru polskiego. Otóż ja miałem sposobność poznać z bliska i osobiście większą część kapłanów, a uprzedzony opinią powyższą, starannie badałem ducha, gorliwość i wiedzę kleru polskiego. Zasięgnąłem dokładnych i szczegółowych informacyj u Arcybiskupów i Biskupów tamtejszych. I właśnie, po badaniach, po informacyach, które na ogół były zadowalające i przychylne, wyrobiłem sobie zdanie korzystne o klerze polskim w Ameryce.

W zestawieniu kleru polskiego w Ameryce z klerem w Europie, przynajmniej u tych narodów, które znam, okaże się może niższość kleru w Ameryce, od kleru w Europie, ale ta niższość nie tyle z winy kleru pochodzi, jak z odmiennych warunków, wśród których jeden i drugi się obraca, wywierających bezsprzecznie wpływ wielki na mniejsze rezultaty jego pracy. Zestawienie tedy winno się odbyć między klerem polskim, amerykańskim, a klerem innych narodowości emigranckich.

Otóż, zestawiając ten różny kler, z zupełnie spokojnem sumieniem mogę zapewnić, że nasz kler polski w swej większości i nauką i gorliwością i prawdziwym duchem kościelnym dorównuje zaiste klerowi amerykańskiemu tubylczemu, jak i klerowi innych narodowości.

Zbudowanie tylu kolosalnych kościołów, szkół, kollegiów, ochronek, szpitalów, przytułków, zorganizowanie tylu parafij, ujęcie w dyscyplinę kościelną przeszło 2,000.000 katolików, utworzenie tylu związków i komitetów parafialnych, praca bezustanna i obmyślana dokładnie, aby powstrzymać szyzmę „niezależnych", to najlepszy dowód, świadectwo najwymowniejsze, że ten kler naprawdę nie jest niższy od kleru innych narodowości. **Za to ujawnia się niestety zbyt widoczna niższość w przyznaniu polskiemu klerowi praw mu przynależnych**, kiedy równocześnie tych praw nie odmawia się innym.

Na synodzie plenarnym w Baltimore w roku 1884 postanowiono, że między wszystkimi rektorami kościołów w dyecezyi, co 10-ty ma być nieodwołalnym, (inter omnes dioeceseos rectores missionarios decimus quisque sit inamovibilis) i podczas, kiedy tę uchwałę zastosowywuje się sumiennie do kapłanów innych narodowości, to z kleru polskiego na 560 kapłanów — a więc powinno być przynajmniej 56 nieodwołalnych — tylko t r z e c h posiada to prawo, a wszyscy inni mogą być w jednej chwili odwołani (ad nutum revocabiles).

A chociaż rektorzy kościołów ad nutum revocabiles, na podstawie dekretów świętych kanonów i decyzyj św. kongregacyi Soboru, tylko z przyczyn ważnych mogą być odwołani — inaczej odwołanie biskupie nie ma znaczenia — a przeto pod pewnym względem zrównani są z nieodwołalnymi, to przecież na mocy prawa synodu w Baltimorze, nieodwołalni cieszą się prawem, którego odwołalni są pozbawieni, mianowicie, że tylko *nieodwołalni mogą wybierać Biskupa*.

Inną przyczyną, która stawia kler polski na stanowisku niższości w porównaniu z klerem innych narodowości, jest nieproporcyonalność między liczbą ogólną kapłanów polskich, a liczbą wybranych z pomiędzy nich doradców (konsultorów) dyecezyalnych. Bardzo ograniczona liczba doradców, wybranych z pomiędzy kleru polskiego, ma tę konsekwencyę, że naród polski zostaje w przykrem położeniu, iż nie ma drogi, by ze swymi zażaleniami dostać się mógł do swego Biskupa, by znaleść u niego już to odpowiednią radę, już to, by zapobiedz wielu przykrościom często mu wyrządzanym.

Bo właściwie doradcy stanowią radę biskupią. Od doradców zależy w wielkiej części uregulowanie stosunków w parafii i rozdział parafian między rektorów, doradcy to także informują Biskupa o potrzebach i krzywdach ludu; oni też swojem zdaniem wpływają na Biskupa, by zapobiegł tym potrzebom i usunął ewentualne krzywdy.

A jeśli doradcy innych narodowości wielką pomoc przynoszą Biskupom, to o wiele większą przynieśliby kapłani Polacy, pracujący nad ludem, który posiada własny język, całkiem niezrozumiały dla Biskupów; stąd gwałtownie narzuca się potrzeba nominacyi doradców Polaków, jako stanowiących jedyny pomost porozumienia się ludu z Biskupem, w tych zwłaszcza dyecezyach, gdzie się znachodzi znaczna liczba Polaków. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych dopiero w ostatnich latach i to dopiero, kiedy delegaci Apostolscy zwrócili uwagę na nienormalny stan ludu polskiego, wywołany taką nierównością, mianowano dziesięciu kapłanów Polaków na urząd konsultorów, z pomiędzy których połowa, jużto wskutek starości, już z innych przyczyn nie bierze udziału w zebraniach dyecezyalnych, stąd ten urząd dla połowy doradców jest więcej pozorny, niż rzeczywisty.

A oto proboszczom i rektorom nieodwołalnym, jakoteż doradcom, przysługuje prawo głosowania na kandydatów terna, przedstawianego Propagandzie, celem obioru Biskupa, a takiego głosu nie mają rektorzy i proboszczowie ad nutum amovibiles.

Stąd pochodzi, że kler polski nie może mieć nigdy decydującego głosu na wybór Biskupów, bo ma tylko 11 głosów przy wyborze (dwóch rektorów nieodwołalnych jest także konsultorami) na wszystkie dyecezye Stanów Zjednoczonych Ameryki, a raczej kler polski ma jeden głos w każdej z tych 11 dyecezyj, do których ta garstka wybranych (konsultorów i proboszczów) należy, a nie ma żadnego głosu w reszcie pozostałych dyecezyj. Z tej nierówności traktowania kleru polskiego wypływa trzecia niewłaściwość bardzo poważna, która winna zwrócić uwagę wyższej władzy, mianowicie ta, że się nie bierze w rachubę kleru polskiego, przy układaniu terna na kandydatów na biskupstwa.

Stąd płynie, że kler polski jest temsamem wykluczony z brania udziału w hierarchii kościelnej, a z wykluczenia kleru pochodzi, że $2^1/_2$ miliona katolików nie może mieć swoich reprezentantów w rzeczonej hierarchii. A przecież wielkiej potrzeby, by jakiś Polak reprezentował tak liczny lud w episkopacie amerykańskim, nie może nie widzieć każdy, kto tylko zwiedzał te kraje wychodźców, taka potrzeba tem bardziej się narzuca od czasu, jak do tego ludu wcisnęła się szyzma „niezależnych“.

Od r. 1891 episkopat amerykański i sama kongregacya Propagandy zajmowali się pytaniem, czy wskutek braku Biskupów Polaków w Ameryce mogłaby powstać jaka szkoda dla religii katolickiej. W dziesięć lat potem na kongresie Arcybiskupów w Waszyngtonie 21. listopada 1901. uznano potrzebę ustanowienia przynajmniej Biskupów-Suffraganów Polaków w tych środowiskach, gdzie kolonie Polskie są liczniejsze. W rzeczy samej Arcybiskup Keane, sekretarz wspomnianego kongresu, odpowiedział na memoryał komisyi wykonawczej wiecu katolickiego Polaków, odbytego w Buffalo, 24. 25. i 26. września tego samego roku, temi słowy:

„Memoryał wykonawczej komisyi Polskiego katolickiego wiecu rozważano gruntownie na Kongresie Arcybiskupów. Uznano całkowicie ważność sprawy traktowanej w memoryale, jakoteż i słuszność przedłożonych racyj. Ale ponieważ Arcybiskupi żadnego nie mają prawa w wyborze Biskupów-Suffraganów, — rzecz, która wyłącznie należy do odnośnej dyecezyi lub prowincyi — nie było w ich mocy cośkolwiek w tej sprawie poradzić“.

Z tej odpowiedzi wynika, że lud polski nie będzie mógł mieć nigdy Biskupów-Suffraganów, bo kongres Arcybiskupów orzekł, że nie jest w jego mocy mianować tychże; nie może mieć Biskupów-Ordynaryuszów, bo żaden kapłan polski, z powodu, iż kler polski, zarządzający parafiami nie ma prawie całkiem prawa nieodwołalności i nie dochodzi do liczby doradców, odpowiadającej liczbie kleru, nie będzie postawiony w ternie, jako kandydat na Biskupa. Tak więc zaradzenie konieczności uznanej za słuszną i ważną przez kongres Arcybiskupów, pozostanie pobożnem tylko pragnieniem, **jeśli Propaganda**, która aprobowała w całości Synod w Baltimore, **nie skłoni biskupów amerykańskich, by i względem kleru polskiego przestrzegali uchwał tego synodu**. Pozostanie także pobożnem tylko pragnieniem nominacya Biskupów-Suffraganów Polaków, **jeśli Propaganda nie nałoży obowiązku na odnośne Prowincye, by przynajmniej w większych środowiskach**, jak Buffalo, Pittsburg, Chicago, Milwaukee, Detroit, Filadelfia, — miasta obejmujące w przybliżeniu $1^1/_2$ miliona Polaków, — **godność suffraganów przypadła klerowi polskiemu**. D. n.

Stanowisko duchowieństwa wobec kwestyi alkoholizmu.

Odkąd reakcya przeciw pijaństwu szersze u nas przybrała rozmiary, podnoszono tu i ówdzie ostre przeciw duchowieństwu zarzuty, że nie stanęło na wysokości swego zadania, że i teraz, kiedy we wszystkich nieomal warstwach narodu coraz głośniej rozbrzmiewa hasło: precz z alkoholem, jeden tylko stan duchowny pozostaje obojętnym, częściowo nawet wrogie zajmuje stanowisko wobec nowoczesnego ruchu antyalkoholicznego.

Księża znowu, zbijając te zarzuty, powołują się na zasługi położone około krzewienia ruchu trzeźwości przez tak wybitnych apostołów jak np. ks. Antoniewicza, Brzozowskiego, Jackowskiego i innych. Z drugiej strony, uzasadniając swe negatywne stanowisko wobec propagandy świeckich towarzystw zupełnej wstrzemięźliwości, jak np. galicyjskiej Eleuteryi, tłumaczą się antykościelnemi dążnościami tychże towarzystw.

Ponieważ ruch antyalkoholiczny jest u nas nietylko uprawniony, ale wprost konieczny i ponieważ duchowieństwo musi zająć jasno określone stanowisko wobec tego ruchu, przeto sądzę, że następnych kilka uwag o tej sprawie będzie bardzo na czasie.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że nie zgadza się z prawdą twierdzenie, jakoby księża nietylko nic nie robili ku zwalczaniu pijaństwa, lecz owszem sami sprawę pogorszyli. Były i są wprawdzie wśród księży pożałowania godne upadki i zgorszenia, nagrzeszono dużo karygodną obojętnością wobec nędzy ludu naszego, który rozpijał się, podczas gdy duszpasterz bezradnie lub obojętnie zakładał ręce. Lecz większość duchowieństwa starała i stara się zwalczać pijaństwo zapomocą tak potężnych środków, jakimi są konfesyonał, ambona i nauki misyjne. Na tem polu zrobiono dużo dobrego, w niektórych parafiach dokonano wprost nadzwyczajnych rzeczy, tam mianowicie, gdzie gorliwość duszpasterza przekraczała przeciętną miarę.

Zarzuty, jakieby przeciw duchowieństwu podnieść można, zarzuty zupełnie słuszne odnoszą się raczej do dotychczasowej taktyki naszej w zwalczaniu pijaństwa. Otóż ogół duchowieństwa zajmuje po dziś dzień to samo stanowisko, używa celem krzewienia trzeźwości wśród ludu tych samych środków, z których korzystali księża przed 50 laty.

A więc występuje się z całą gorliwością apostolską li tylko przeciw „przeklętej oparze“, tj. wódce; dalej wśród alkoholików widzi się tylko jedną kategoryę, mianowicie wielkich grzeszników-pijanic, którzy „nie posiędą Królestwa niebieskiego“. Odpowiednio do takiego zapatrywania traktuje się wszystkich podług jednego szematu, odmawiając im rozgrzeszenia, piorunując na nich z ambony etc.

Otóż taki sposób zwalczania pijaństwa mógł uchodzić pół wieku temu i wówczas doskonałe wydawać rezultaty.

W połowie dziewiętnastego stulecia bowiem tylko wódka stanowiła prawdziwe niebezpieczeństwo dla ludu naszego. Innych napojów alkoholowych, przystępnych ludowi nie znano natenczas prawie wcale. Starczyło chwilowo, że księża występowali przeciw używaniu wódki. Dzisiaj fabrykanci zalewają kraj nasz potokami różnych win sztucznych, które pod względem zawartości alkoholu nie wiele się różnią od wódki, owszem nieraz są więcej szkodliwemi wskutek niektórych trujących dodatków che-

micznych. Mimo to występuje się dzisiaj tak, jak pół wieku temu, li tylko przeciw wódce.

Dawniej piętnowano pijaństwo bez wyjątku jako występek. Tymczasem stwierdziła nauka, że nie zawsze takie pojęcie zgadza się z prawdą. W wielu wypadkach mamy do czynienia z objawami choroby. Nieraz dziedziczność, t. z. atawizm odgrywa tutaj niepoślednią rolę. W tym wypadku powinien kwestyę rozstrzygać nietylko lekarz duszy; głos ma i lekarz ciała.

Fizyologowie i psychiatrzy wykazali już dawno, że uleczony alkoholik nałogowy musi bezwarunkowo pozostać na całe życie abstynentem od wszelkich napojów alkoholowych, inaczej popadnie rychło w dawny nałóg. Jest jeszcze niemało księży, którzy o tem nie wiedzą. W każdym razie ustawy dotychczasowo kościelnych bractw wstrzemięźliwości nie uwzględniają tego momentu wcale, wymagając abstynencyi od wódki itd. palonych napojów, zezwalają natomiast na używanie innych napojów alkoholowych. Wyjątków od tego nie ma w ustawach brackich.

Jest jeszcze jedna bardzo ważna kwestya, w której ogół duchowieństwa stanął po za doświadczeniami naukowemi, mianowicie sprawa dzieci.

W świecie naukowym panuje dzisiaj jedno tylko zdanie: że dzieciom olkohol w jakiejbądź formie jest bezwarunkowo szkodliwy. Otóż trudno dopatrzeć się uwzględnienia tego momentu w działalności polskiego duchowieństwa. Poucza się dzieci tak samo jak dorosłych: „byle nie zawiele, to nic nie szkodzi". Na tej też podstawie przyjmuje się dzieci do bractwa wstrzemięźliwości.

Obok tego należy podnieść inny bardzo poważny zarzut. Cała nasza dotychczasowa akcya była skierowaną przeciw pijaństwu warstw niższych. Na warstwy oświeceńsze nie zdołaliśmy wywrzeć wpływu. A przecież pijaństwo i tam jest rozpowszechnionem i tem niebezpieczniejszem, że dając zgorszenie maluczkim, niemałe czyni spustoszenie. Nie ma się zresztą czemu dziwić, że w tych sferach duchowieństwo nie dużo zdziałało. Inteligencyi naszej nie mogą wystarczyć środki, które z założenia swego przeznaczone są dla ludu jak np. bractwa, misye itp. Tu należy działać więcej indywidualnie. A do tego trzeba posiadać koniecznie pewien zasób wiadomości w odnośnej sprawie. Kwestya alkoholizmu jest dzisiaj osobną gałęzią wiedzy. Bibliografia jest tutaj już wprost olbrzymią. Tymczasem, wątpię, czy na całym obszarze ziem polskich znaleźlibyśmy do niedawna choć kilku księży, którzyby uważali za potrzebne sprowadzić to lub owo dzieło traktujące sprawę alkoholizmu w sposób naukowy, jak np. epokowe dzieło prof. Helleniusa „kwestya alkoholizmu". Istnieją obecnie trzy pisma polskie poświęcone badaniu tejże sprawy*), zastęp prenumeratorów z pośród duchowieństwa, niestety, nie wielki.

To też nie ma się czemu dziwić, że inteligencya świecka, poznawszy ogrom złego, wynikającego z pijaństwa, a nie widząc wystarczającego zrozumienia tej sprawy w kołach duchownych zabrała się do dzieła. Widzieliśmy, że nie bez skutku.

Stąd powstały Towarzystwa w rodzaju: Eleusis, Eleuterya, Trzeźwość (w Galicyi), oraz Wyzwolenie (w Poznańskiem).

Wszystkie te związki przyjęły zasadę zupełnej wstrzemięźliwości, czyli abstynencyi.

Dla wielu abstynencya jest kamieniem obrazy. Stąd niechętne, po części wrogie, albo lekceważące stanowisko wobec tego ruchu. D. n.

Ks. Niesiołowski.

*) Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości; (w Pleszewie W. ks. Pozn.) »Przyszłość« i »Wyzwolenie« (Obydwa wychodzą w Krakowie).

Kronika Kościelna.

Spór profesorski w Norwegii i fatalny pierwszy krok króla Hakona VII.

Dużo się zmieniło w Norwegii od czasu, gdy po raz ostatni wspominałem o niej w kronice kościelnej... Zmieniła ona nietylko króla, ale i dynastyę; miejsce potomków generała Bernadotte zajął ród Szlezwik-Holsztyński dzierżący od dawna rządy w Danii... Nie wiele upłynęło miesięcy od uroczystego dnia objęcia rządów przez króla Hakona VII. a oto na samym prawie wstępie zgotowano mu kłopot nielada... Dwa lata przeszło trwał tam spór o jedną z katedr profesorskich, na jedynym w kraju wydziale teologicznym uniwersytetu w Chrystianii, założonego 1811. roku. Senat akademicki oświadczył się za niejakim Drem Ordingem, który publicznie głosił, że chrzest nie jest zgoła odrodzeniem do żywota wiecznego, lecz ma jedynie znaczenie symbolicznej, a żadnych skutków nie posiadającej ceremonii. Gdy o owej uchwale senatu dowiedzieli się ortodoksi luterscy, podnieśli uroczysty protest przeciwko zamierzonej nominacyi, motywując go słuszną uwagą, że nie powinien być profesorem dogmatyki ten, kto przeczy zasadniczej prawdzie Kościoła chrześcijańskiego. Jakimiż bowiem będą kiedyś pastorami i duszpasterzami kandydaci, którzy wsłuchiwać się mają w wykłady profesora niedowiarka? Dość już pod tym względem smutno ukształtowały się stosunki na fakultecie teologicznym w Chrystianii, gdzie jeden jedyny profesor Odland jest przedstawicielem kierunku pozytywnego, podczas gdy wszyscy koledzy jego są zasad racyonalistycznych, a la Dr. Ording. Nie dziw zatem, że starsi pastorowie i nie obojętni dla wiary świeccy należący do protestanckiego Kościoła państwowego w duchu pozytywnym wychowani przez tego rodzaju lekceważenie przyszłości wiary do żywego uczuli się oburzeni. Wprawdzie roku zeszłego, gdy przez zerwanie unii ze Szwecyą umysły wszystkich zajęte były polityką, usunięto na bok sprawę dra Ordinga, lecz z chwilą, gdy zasiadł na tronie nowo obrany król, „spór profesorski" odżył w całej pełni i wybuchnął o wiele gwałtowniej, aniżeli przedtem. Zwolennicy racyonalizmu wraz ze słynnym poetą norwegskim Bjornstjerne Bjornsonem, który przed niedawnym czasem napisał „wierzę w Boga, ale nie w Chrystusa — Boga", użyli wszelkich swych wpływów, aby przeforsować swego kandydata na katedrę profesorską. I według ostatnich wiadomości rada ministrów poszła im na rękę zatwierdzając uchwałę senatu akademickiego. — Minister wyznań i oświaty Chrystyan Knudsen prosił z tego powodu króla o dymissyę, ta została przyjętą i dzielny ekminister, który dawniej był pastorem, powrócił do pracy parafialnej i otrzymał probostwo w Brajernas-Drammon. Tekę po nim objął pastor z Skjeberg Dr. Otto Jenson, aby dopomagać przewrotowi zbyt ulegającemu królowi Hakonowi w dalszych jego niebezpiecznych eksperymentach. A będzie miał nowe pole do popisu, gdyż z powodu nominacyi Dra Ordinga i profesor Odland prosił o uwolnienie z posady... Schlebiając przewrot niosącym profesorom i ich adherentom król Hakon VII. u progu swych rządów zraził sobie najspokojniejsze żywioły w królestwie.

Złote słowa barona Konopki na wiecu tarnowskim i działalność Związków katolickich we Wiedniu.

Pełne powagi a tem samem godne uwagi padły słowa z ust zacnego barona Jana Konopki na wiecu w Tarnowie odbytym przed kilku dniami: „nie tylko obwiniać się powinno barona Gautscha za ruch wzrastający dziś co raz groźniej, ale i Koło polskie, że zaniedbało w ostatnich latach użyć swych wpływów, by zwrócić uwagę sfer wiedeńskich na niebezpieczeństwo grożące z powodu nie dość energicznie zwalczanej agitacyi w przewrotnej prasie i na zgromadzeniach". — Dojść zatem musiało do tego, że ośmieleni bezradnością rządu wrogowie wiary św. i ładu społecznego, zrzucając śmiało

przyłbicę, pod którą się wpierw kryli skromnie, targają się dziś na wszystkich i na wszystko, co za ich zatrutem hasłem iść nie ma ochoty!.. Nikomu prawie nie jest już tajno, że w razie, gdyby powiódł się baronowi Gautschowi jego Sprung ins Dunkle t. j. gdyby znalazł w parlamencie większość dla projektowanej przez siebie reformy wyborczej i gdyby następny parlament austryacki składał się z posłów na podstawie owej czteroprzymiotnikowej reformy wybranych, nie długoby czekać trzeba było na powtórzenie się w Austryi tego, co obecnie przeżywa Francya... Aby tedy przynajmniej w części przeszkodzić złemu, mężowie dobrej woli gorliwie zabrali się do pracy, celem wprowadzenia w życie uchwał ostatniego Wiecu katolików austryackich. Więc przedewszystkiem zajęto się zcentralizowaniem organizacyi katolickich stowarzyszeń dotychczas luzem chodzących. Prezydyum centralnego biura spoczywa w rękach wypróbowanych bojowników Kościoła św., bo znanego komisarza wieców katolickich, hr. Ernesta Sylva-Tarouca, hr. Ferdynanda Traumannsdorfa i profesora uniwersytetu wiedeńskiego Mgra Franciszka Schindlera. Katolicki Związek ludowy dla Niższej Austryi pod przewodnictwem barona Vittinghoff Schella. Związek Piusowy dla popierania prasy katolickiej, który 7 lutego b. r. w obecności licznie przybyłych delegatów, z Galicyi kanonika ołomunieckiego Stefana hr. Komorowskiego i księcia Pawła Sapiehy ukonstytuował się, wybierając prezesem barona Franciszka Walterskirchen, rozpoczęły również swe czynności.

Listy pasterskie biskupów Austryi niższej przeciwko agitatorom za [illegible] niem rozwodów.

A że masonerya rozwinęła na wielką skalę akcyę w sprawie zmiany §. 111. kodeksu cywilnego, a więc za pozbawieniem małżeństwa charakteru chrześcijańskiego, przeto biskup z St. Poelten Mgr. Jan Roessler i wiedeński kardynał ks. Gruscha, w których dyecezyach ruch ten antychrześcijański najsilniej się rozwija, wystosowali do kleru swych dyecezyi listy pasterskie z wezwaniem, aby jak najenergiczniej przeciwdziałano tejże niecnej agitacyi. List Mgra Roesslera datowany w dniu N. M. P. Gromnicznej zawiera tak wspaniałą apologię Sakramentu małżeństwa, że godziłoby się nad takowym dłużej zastanowić. Dla szczupłości miejsca użyczonego mym kronikom, muszę się zadowolnić krótką o nim wzmianką: nie mogę jednak pominąć pewnego ustępu, który zwłaszcza świeckim ludziom musi trafić do przekonania. „Przedstawmy sobie, — pisze Mgr Roessler — parę młodych małżonków. O czem oni rozmawiają ze sobą O wiecznej miłości i wierności — O czem piszą w listach swoich? — O wiecznej miłości i wierności. — A czy w dniu ślubu mówili o rozwodzie lub powtórnem wstąpieniu w związki małżeńskie? Pewno nie. Wzdrygnęliby się na myśl podobną. — O czem to świadczy? Że prawdziwa miłość małżeńska z natury swej nie zna rozwodów. I w myśli, że miłość i wierność ich nigdy się nie skończą, młoda para czuje się szczęśliwą i zadowoloną. A kto utwierdza ją w owych uczuciach słodkich będących świętemi prawami natury? Zbawiciel nasz, który małżeństwo postanowił nierozerwalnem".

„Związek katolicko-społeczny w dyecezyi przemyskiej".

W zamiarze stawienia zawczasu zapory przed grożącem niebezpieczeństwem i w naszym kraju, który w ostatnich czasach zdradza wielką ochotę do ciągnących z Zachodu nowinek, niestrudzony w swych pracach apostolskich ks. biskup przemyski Pelczar zainicyował wielkie dzieło, co, jeśli się powiedzie, nieskruszony pomnik wzniesie dla inicyatora. Korespondencya pomieszczona w ostatnim numerze Gazety Kościelnej omawia szeroko tę sprawę założenia 11 b. m. w Przemyślu „Związku katolicko społecznego", który przez komitety parafialne ma być rozszerzonym na całą dyecezyę. — Myśl ta wielka rzucona, dzieło przez nią poczęte ma zszeregować zastępy wiernych katolików bez względu na stan, ma poruszyć serca i zapalić je do obrony tego, co dla Polaka najświętsze, wiary św., która w dawnych wiekach imieniowi polskiemu tyle przysporzyła chwały... Cześć więc biskupowi, który zrozumiał należycie potrzebę doby obecnej, ocenił gruntownie braki i niebezpieczeństwa, a rozum i serce Jego odnalazły lekarstwo. *X. X.*

Kto zbawi polskie społeczeństwo?

I dziwne a i zuchwałe pytanie. A przecież ono narzuca się gwałtem każdemu, kto się rozgląda, choćby tylko po swojej parafii. Szalony prąd nowostek wdziera się pod najuboższą strzechę. Setki listów z Ameryki, z Saksonii, z Prus, z Pesztu mąci zdrowe dotąd jeszcze pojęcia ludu, a mąci tak skutecznie, że w umysłach i sercach tych biednych ludzi panuje najpierw nie do opisania chaos, potem wżera się wątpliwość, a wreszcie — zachwianie onych wszystkich podwalin, na których opiera się wiara, uczucie, pożycie a i życie chłopka polskiego.

Drugą bronią straszną to ci, co powracają z obczyzny. Czego oni tam nie widzieli, czego się nie nasłuchali. I opowiadają po swojemu, jakie to sybarytyczne życie wiodą w Ameryce, nietylko bogaci, ale i nasz polski wyrobnik. Co tam rozkoszy dla ócz i uszu, co rozkoszy dla zmysłów, a jaka swoboda. Wszystko się garnie do ciebie. Nikt się nie pyta, co robisz; nikt ci kazań nie mówi; owszem wszystko, wszyscy ciągną cię do używania, do przesytu.

Trzecią bronią to nasze niecne gazety. O tem nie pisać, to zbyt znana sprawa. Czwarta choroba to zebrania, to wiece, czy to w gminach, czy w miastach urządzane. A jest ich tyle.

Po co to piszę? Byśmy się tą samą bronią posługiwali. Ale do tego potrzeba pracy i to takiej pracy, co wyczerpuje siły, a i zdrowie. Inaczej być nie może. Skoro wrogowie wytężają swe siły, nam zasypiać nie wolno. A łatwiej nam pracować, bośmy przecież *kleros*, to jest wyborowy lud, a stara to prawda, że natura ludzka sympatyzuje z ludźmi wielkiego charakteru. Jednego nam brakuje. Czego? Odwagi do jawnej a wytrwałej pracy. Odwaga! Boć rzucą się na ciebie i jawnie i tajnie, z oszczerstwem i podejrzeniem, a może i — pięścią. Ale trudno. Skoroś się jął pługa pasterskiego, to nie oglądaj się wstecz, ani po bokach, ale idź, choćby i na kolanach i nie puszczaj go z rąk, aż ci go Bóg sam wyjmie, — chwili skonu. To należy do nas. Wynik pracy do Boga. Nie uciekać, nie chwiać się, ale iść i służyć aż do śmierci.

Co robić? Środków wiele. O jednym powiem. Jakiż? Zebrania czysto chłopskie z samych pełnoletnich parafian. Kiedy je urządzać? W niedziele i we święta zaraz po sumie w sali szkolnej. Po sumie przyjdą wszyscy. Po południu mało kto. Ażeby zaś można mieć zebrania w sali szkolnej, która jedynie jako dosyć obszerna na takie zebrania się nadaje, trzeba poprzód założyć Kółko rolnicze, i to jedno na całą parafię, albo się postarać u krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej o założenie czytelni w tej gminie, gdzie kościół i szkoła. W takich warunkach wolno korzystać ze sali szkolnej. W lecie zaś pod gołem niebem, na cmentarzu kościelnym.

Praktyka wskazuje, że może proboszcz wiele dokonać na takich zebraniach. Dlaczego? Wszakci to jest wrodzone naszej naturze, że się poddajemy większości we wszystkich zakresach naszego życia. Większości poddajemy się w życiu towarzyskiem, bo się jej poddać musimy. Większość dyktuje prawa w parlamentach, w radach gminnych i na wiecach. A i z tytułu moralnego wyrabia sobie większość supremacyą, a z nią karność i zaparcie się indywidualnych zachcianek.

Zróbmy sobie taką większość między parafianami. Jak ją zdobędziemy? Pamiętajmy o tem, że ludzie małej

inteligencyi nie porwią ludu za sobą, jeżeli wśród tego ludu staną ludzie z wyższą inteligencyą i poczciwym hasłem. Tę wyższość i te poczciwe hasła my mamy. Dalej trzeba i o tem nie zapominać, że suggestya wiele może; ale suggestya bezpośrednia, która działa z szybkością piorunu. A gdy się skutek odniesie, potrzeba potem ciągle go podtrzymywać, by wszedł z wolna w krew i kości parafian.

Jak postąpić w praktyce? Po sumie każdej niedzieli i w każde święto sprosić parafian, i to samych pełnoletnich, na zebranie. Tamże odczytać im takie ustępy, czy to z „Prawdy", czy z „Gazety niedzielnej", czy z „Postępu", lub innego pisma, które są aktualne i blisko obchodzą włościan: a więc ich wiarę, moralność, dobrobyt, rolę i przyszłość. Z odczytanego artykułu nasuną się wnioski. Zachęcić zdolniejszych, by zabierali głos. To przychodzi trudniej, bo włościanin lęka się, by się nie naraził na śmiech lub szyderstwo. Otóż potrzeba sobie poprzód choćby trzech takich wyrobić. Stykać się z nimi częściej, rozmawiać i do czytania dawać poważniejsze rzeczy. A gdy się oswoi wynurzać swe zdanie przed proboszczem, to już na zebraniu śmiało głos zabierze. Po dyskusyi nad jaką kwestyą, powinna nastąpić uchwała zebranych. Bo gdy parafianie powezmą jaką uchwałę, to ona staje się ich własnością i o niej mówić i jej będą bronili. Gdy się tak dłużej popracuje, to się będzie miało stałą większość parafian, a i tę pewność, że ani socyalista, ani ludowiec nie przekroczy bezkarnie granic parafii. Ludzie już sami bronić się będą, a i zaczepnie wystąpią przeciw wrogom kościoła i swych świętych zasad.

W ważnych sprawach powinno się na takich zebraniach stawiać wnioski, głosować, a gdy czas potemu i przed wnioskiem przyjętym podpisać. Wniosku sam włościanin nie opracuje. To już rzecz proboszcza. Gdy proboszcz chce jakiś wniosek przeprowadzić, niechajże zaprosi kilku z parafian, sprawę omówi, wyjaśni i jednemu z nich niechaj odda wniosek gotowy na piśmie, ażeby go postawił i odczytał na zebraniu.

Powoli wyrobią się kierownicy, którzy proboszcza zastąpią, i ci zostaną przewódcami i będą panowali nad wolą innych i przerobią serca ich. O żadnym bowiem parafianie nie wolno zwątpić. Bo zaniedbane serca, to jak kłoda drzewa, co leżała długi czas na słocie. Zdaje się być pruchnem, nawet na paliwo nieprzydatnem, ale uderz siekierą raz i drugi, a trafisz na zdrowy rdzeń. Bijmy tedy siekierą w to napozór pruchno, a dojdziemy do zdrowego rdzenia i urobimy z niego to, co Bogu chwałę, a ludziom korzyść przyniesie.

Nie dopuśćmy, by na wsi zanikło poczucie religijne. Bo o tem trzeba pamiętać, że wieś zawdzięcza swą moralną wyższość nad miastem temu swemu głębokiemu poczuciu religijnemu. W miarę, jak to poczucie zanika, upada najsilniejsza podpora przeciw naciskowi zepsucia, jakie z miast i z zagranicy do nas przypływa. A wtenczas i wieś i rodzina zginą, a miejski tłum niewierny zwycięży. I pójdą już parafianie, ale bez nas, nowymi drogami, jakimi dzisiaj świat zwykł chodzić.

Może się mylę. Dyskusya otwarta. A sprawa zbyt ważna, by o niej milczeć. Zabierajmy tedy głos w naszym organie, choćby on był jak mój nieudolny. Lepiej zawsze coś powiedzieć, jak milczeć.

X. Kopyciński.

Religia „Naprzodu".

Socyaliści zwykli utrzymywać, że oni szanują każdego przekonania religijne, religii nie atakują, a tylko z klerykałami walczą. Jakie to wielkie kłamstwo, świadczy, pomijając tysiączne ich bezbożne enuncyacye, Nr. 46 »Naprzodu«. Z okazyi 50. rocznicy śmierci Heinego zamieszcza »Naprzód« sążniste, pełne uwielbień dla poety wspomnienie. Co drugi wiersz nazywa go prorokiem przyszłości. Nie dziwimy się tej apoteozie Heinego na szpaltach »Naprzodu«. Miłośnik orgij greckich i rzymskich, a wróg zawzięty rozmiłowanej w krzyżu religii Chrystusowej, wykwintny, ale i wyuzdany poeta-pornograf, rzucający błotem, rozrobionym śliną żydowską, na wszystko co boże, święte, nadprzyrodzone, taki człowiek musiał naturalnie znaleść oddźwięk w pokrewnych sobie duszach redaktorów »Naprzodu«. Similis simili gaudet. Wszak to par excellence śpiewak uczuć i myśli, przepełniających serce uświadomionych socyalistów, wszak to lubownik błota moralnego... taki niemiałby znaleść pomnika w sercu socyalistów, a i na szpaltach ich dziennika? Wielką zaiste byłaby wtedy ich niewdzięczność, za wielka nawet jak na socyalistów!

Ale przy tej sposobności odkryli, co prawda nie po raz pierwszy, swe religijne zapatrywania. Zaraz po artykule pochwalnym, o którym wspomniałem, drukują ohydny wiersz Heinego, gdzie takie przychodzą zwrotki:

»Ja nową pieśń ja lepszą pieśń
O bracia chcę wam ułożyć:
My chcemy na tej ziemi już
Królestwo niebieskie stworzyć«.

O niebie pisze żyd-pornograf:

»A niebo niech mają na wieczny czas
Anioły, wróble, skowronki«.

Żydowskie bluźnierstwa miota na Zbawcę naszego, Jezusa Chrystusa:

»Ogarnia mnie zawsze na widok twój
Żal, biedny przyjacielu,
Co chciałeś wyzwolić cały świat,
Niemądry ty zbawicielu!«

Taką to religię wyznają Naprzodowcy, tak się na niebo, na Zbawiciela naszego zapatrują! Niech nikt nie mówi, że oni tylko bluźnierstwa Heinego przedrukowali. Znana to sztuczka. Tak jak pod osłoną nietykalności poselskiej ich posłowie kolportują bluźnierstwa przeciw Matce Najśw., tak tu pod osłoną dawno zmarłego poety, poją trucizną swych niebacznych czytelników — ale zarazem odkrywają, co myślą o religii, jakimi to zapatrywaniami myślą karmić nasz lud, kiedy go w swe ręce dostaną, jak to wygląda w praktyce ich tolerancya religijna, ich twierdzenie, że szanują cudze przekonania religijne. Zapatrywań swoich religijnych podawać od siebie jeszcze nie śmieją, bo możeby się i ich towarzyszom oczy otwarły, możeby i prokuratorya wkroczyła ze swojem veto, ale w formie wiersza zmarłego poety swoje własne przekonania i najserdeczniejsze pragnienia puścić w świat, to się uda, a swoje zrobi. Pewnie, ale niechże na przyszłość nie mamią ludzi, że szanują przekonania religijne, — redaktorzy, którzy cudze bluźnierstwa w swoim dzienniku zamieszczają, bez słowa potępienia, solidaryzują się z niemi, znana to rzecz powszechnie — my kapłani Chrystusowi powiemy ludowi, powołując się na Nr. 46 »Naprzodu«, jak to w praktyce to wasze poszanowanie religii wygląda!

Kwestyonaryusz.

Przedłożono Redakcyi następujące kwestye z prośbą o ich rozstrzygnięcie:

1. Jak umieścić w metrykach dzieci obywateli austryackich, urodzonych za granicą, gdy nieraz po roku i później przychodzą akty urzędowe posłane przez Starostwo, które żąda wpisania do metryk, a w księdze wolnego miejsca na to nie ma?

Odpowiedź: Zapisać odnośny akt w metrykach chrztu pod liczbą bieżącą, a w miejscu, gdzie właściwie chrzest dziecka powinien był być zapisany, zrobić odpowiedni odnośnik.

2. Co czynić z metrykami cywilnemi z Węgier, które przysyła Starostwo, aby je wpisać do naszych metryk, a nie ma na to do-

wodu, że te dzieci były tam ochrzczone? a także nie ma miejsca wolnego w księdze, aby je tam zaciągnąć?

Odpowiedź: Sprawę najlepiej oddać Konsystorzowi, który prędzej niż proboszcz może się dowiedzieć, czy i gdzie było dziecko ochrzczone. Gdyby sam proboszcz mógł się dowiedzieć gdzie dziecko było ochrzczone mógłby od dotyczącego proboszcza zażądać metryki chrztu. Byłoby także do życzenia, aby nasze Ordynaryaty porozumiały się z Biskupami Węgierskimi, by te poleciły proboszczom odsyłać metryki dzieci, zaraz po ich ochrzczeniu do odnośnych Ordynaryatów galicyjskich. Co do zapisania do metryk odpowiedź dana w I. punkcie ma i tu zastosowanie.

3. Prosi nas pewien kapłan, by podać w Gazecie wzór, jak ma być sporządzana fasya dochodów probostwa, celem wymiaru podatku.

Odpowiedź: Mamy nadzieję, że podobny wzór, wkrótce podamy, na razie możemy wskazać na I kurrendę archidecezyi lwowskiej z r. 1899., i na broszurkę ks. Dr. Szczeklika, prof. w Sem. w Tarnowie, wydaną w r. 1895 p. t. Ustawa kongrualna, gdzie takie wzory wraz z odnośną ustawą się znajdują.

Bibliografia.

Ks. Wawrzyniec Pilszak. *Zarys religii katolickiej w formie katechizmu rozszerzonego*. Rzeszów 1905. Cena egz. op. 1 kor. 60 hal.

Autor, jak skądinąd wiemy, chciałby swoją książką zastąpić używane dotąd w wyższem gimnazyum dogmatyki. Jest bowiem zdania, że taki katechizmowy sposób uczenia religii daleko większą przyniósłby korzyść, niż dotychczasowy dogmatyczny. Kwestya to ogólniejszej natury, przeto, nim samą książkę ocenimy, powiemy co myślimy o pytaniu: czy ma być w gimnazyum rozszerzony katechizm, czy dogmatyka?

Najprzód nie zgadzam się ze zdaniem tych, którzyby chcieli z gimnazyów wyrugować dogmatyki pod pozorem, że wiara jest łaską wlaną przez Boga, a nie filozofowaniem nabytą, zależną więcej od dobrej woli człowieka, niż od jego filozoficznego wykształcenia. A właśnie mówią, dogmatyki nasze za dużo filozofują, zamiast prawdy boże poprostu przedstawić, i zostawić ich przyjęcie dobrej woli człowieka. To wszystko prawda, ale to nie usuwa potrzeby dogmatyki, a nawet nie jest żadną racyą przeciw dogmatyce. Wprawdzie wiara jest łaską wlaną i utrzymanie jej zależy więcej od dobrej woli człowieka, niż od jego wykształcenia filozoficznego — to jednak łaska wiary, by nie zamarła w duszy człowieka, potrzebuje z jego strony współpracownictwa; musi tedy człowiek, w miarę wykształcenia swego, i zdać sobie sprawę z tego, dlaczego wierzy, usunąć uprzedzenia przeciw wierze, zobaczyć, że nie ma sprzeczności oczywistej między wiarą a rozumem, słowem jak chce Apostoł, musi być „*rationabile obsequium nostrum*“ Rom. 12, 1. — A w tym celu musi człowiek jednak trochę filozofować i to tem więcej, im wyższe jest jego wykształcenie. Inna rzecz, że dowody rozumowe w podręcznikach szkolnych winny być jasne, przystępne, dobrane do pojęcia uczniów — a więc całkiem winno być inaczej, niż jest po dogmatykach dotąd — ale zasadniczo, ze względu tylko na to, że wiara nie jest filozofią, nie można filozofii całkiem przy nauczaniu religii się wyzbywać — bo to nawet jest rzeczą wprost niemożliwą — natura ludzka już sama z siebie jest filozoficznie nastrojoną.

A teraz kwestya, co lepiejby było, czy uczyć rozszerzonego katechizmu, czy ulepszonej dogmatyki?

Przyznam się, że dla mnie ta kwestya przedstawia się dość obojętnie. Ma swoje niedostatki system dogmatyczny, ale ma je i katechizmowe nauczanie. Skutek, zdaniem mojem, zależy raczej od jakości podręcznika i od uzdolnienia katechety, niż od tego, czy będzie wykładaną w szkole dogmatyka, czy katechizm rozszerzony. Sądziłbym, że w postawieniu kwestyi w ten sposób: albo dogmatyka, albo rozszerzony katechizm, leży pewne nieporozumienie co do tego, co należy uważać za rozszerzony katechizm. Według mnie chodzić może tylko o metodę, która jest lepsza, czy katechizmowa, czy dogmatyczna, bo rzecz sama, czy ona będzie w dogmatyce, czy w rozszerzonym katechiźmie, zdaniem mojem, mniej więcej musi być tak samo podana i traktowana. Bo i ten rozszerzony katechizm musi w objaśnieniach podawać racye rozumowe, uzasadniać istnienie objawienia, zbijać przynajmniej najzwyklejsze zarzuty — a to przecież wszystko dogmatyka. W ten sposób, sądzę, musi być i rozszerzony katechizm ułożony, jeśliby miał zastąpić dogmatykę i jeśli coś nowego uczniom w wyższych klasach ma podać, niż to, czego się już w niższych uczyli, a choćby dlatego tylko musi schodzić się w przedstawieniu prawd z dogmatyką, boby inaczej znudził powtarzaniem tego samego w kółko przez 8 lat, znudził mówię uczniów, a może jeszcze więcej samego katechetę.

Gdyby się mię kto zapytał, jak się na poruszoną kwestyę zapatruję, powiedziałbym mu, że dogmatykę ogólną zostawiłbym w gimnazyum mniej więcej we formie, jaka dziś jest, oczywiście po usunięciu bardzo dotkliwych braków w dzisiejszych dogmatykach, a dogmatykę szczegółową chciałbym mieć napisaną, niech będzie w formie katechizmowej, ale bez porównania gruntowniej, niż to zrobił Szanowny Autor. Ale o tem zaraz powiem.

Dlaczego dogmatykę ogólną zastawiłbym?

Uważam te prawdy, o których traktuje dogmatyka ogólna za tak podstawowe dla całej nauki religii, że gdyby się udało kogoś o nich przekonać, nie sądzę, by potem miał jeszcze trudności wielkie w przyjęciu dogmatów szczegółowych.

Dlatego chciałbym, aby ta część ogólna była jak najjaśniej, najprzystępniej i najlogiczniej przeprowadzona — chciałbym, aby uczeń widział ten logiczny związek między prawdami fundamentalnymi, słowem, aby wiedział, czemu ma wierzyć. A do takiego przedstawienia tych prawd fundamentalnych jak: o religii w ogólności, o potrzebie objawienia, o kryteryach objawienia, o kościele, sądzę lepiej się nadaje dogmatyczna forma, niż katechizmowa. Uczeń musi mieć jasno i oddzielnie nakreślony fundament, na którym się wspiera jego wiara — a takiego oddzielenia w katechizmowej formie przeprowadzić nie można, przynajmniej jeśli katechizmy będą tak ułożone jak dotąd, a więc nauka n. p. o kościele będzie przychodzić dopiero jako IX. artykuł wiary. Forma dogmatyczna ma tę znów słabą stronę, że uczeń nieraz nie może uchwycić związku między prawdami rozwijanemi i sądzi, że dogmatyka to co innego niż katechizm, ale ten szkopuł łatwo katecheta może ominąć przez ciągłe powtarzanie przedmiotu, zwracanie uwagi na logiczną łączność, a zwłaszcza przypominanie uczniowi, że to, co teraz się mu uzasadni, on, uczeń, już słyszał z katechizmu. W dogmatyce szczegółowej już opuściłbym wszystkie uzasadnienia skrypturystyczne, chyba z wyjątkiem najzwyklejszych, już z katechizmu znanych, a ciągłą zwracałbym uwagę na to, że Kościół tak uczy, a Kościół, jak w dogmatyce ogólnej uzasadniliśmy, się nie myli. Całą dogmatykę szczegółową ograniczyłbym do postawienia jasnego tego, co się w teologii nazywa „*status quaestionis*“ i po powołaniu się na naukę Kościoła w tej mierze, starałbym się przez analogię, przykłady, porównania, no i łatwiejsze racye filozoficzne wykazać zgodność dogmatu z rozumem.

To wszystko możnaby uskutecznić i w formie katechizmowej, dlatego nie mam nic przeciw temu, aby prawdy dogmatyki szczegółowej były katechizmowo uczone.

To wszystko, com dotąd powiedział, leżało mi już dawno na sercu, dlatego Szanowny czytelnik nie weźmie mi za złe, że zamiast krótkiej recenzyi książki tak się rozgadałem.

A teraz recenzya książki samej.

Jak pojmuję książkę szkolną, w formie katechizmowej podającą naukę katolicką, już wyżej zaznaczyłem. Wymagam od niej dwóch rzeczy: gruntowności i jasności. Kiedy mówię o gruntowności, niech mię nikt nie posądza, że mam na myśli tę pedantyczną niemiecką gruntowność, gdzie każde słowo, samo w sobie jasne jak słońce, stara się kto jeszcze bardziej objaśnić i tysiące kwestyj i kwestyjek porusza, chyba Świętym w niebie do zupełnego szczęścia potrzebnych, ale rozumiem przez gruntowność niepomijanie rzeczy wykształconemu naprawdę potrzebnych, uzasadnienie dostateczne tego, co się porusza. I znowu kiedy chodzi o uzasadnienie, nie mam na myśli podawania ciężkich filozoficznych racyj, ale wykazanie zgodności jakiej prawdy objawionej z rozumem już to przez podobieństwa, już to przez analogie ze świata zewnętrznego wzięte,

już to i przez racye filozoficzne, ale jasno, po chłopsku przedstawione.

Autorowi udała się dosyć jasność przedstawienia. Znać z książki już doświadczonego pedagoga, który wie, jak do młodzieży przemawiać. Choć i co do jasności zauważyłbym, że miejscami rzecz zanadto po scholastycznemu traktowana, pojęciami zbyt oderwanemi — brak przykładów, któreby mogły dobrze niejedną rzecz uzmysławiać — miejscami niejedna rzecz niepotrzebnie, jako zbyt drobnostkowa, poruszona — ale na ogół rzecz biorąc, zwłaszcza w nauce o Sakramentach św., znać postawienie się Autora w położenie uczniów i uwzględnienie ich sposobu pojmowania. Ale za to na gruntowności podręcznik — zwłaszcza w części I-szej o wierze — wielce szwankuje.

Miejscami, gdzieby przecież należało rzecz głębiej objaśnić, albo nie ma wcale objaśnienia, albo takie zdawkowe, które już choćby dlatego nie robi wrażenia, że nic w nim nie ma oryginalnego — mało świeżości, nowszej jakiej myśli.

Na kilku przykładach, wyjętych z książki ks. Pilszaka, zilustruję to, co powiedziałem dotąd.

Str. 18. tak mówi autor o wierze: »Wiara jest prawdą pewniejszą, niż to, co widzimy, słyszymy etc.« Wyżej było, że »wiara nie jest to.. wiedza nabyta spostrzeżeniem, doświadczeniem, obliczeniem... te bowiem pojęcia dopuszczają przeciwną im możliwość«. Pomijam niejasne wyrażenie w ostatniem zdaniu, czy jednak prawdą jest to, co autor mówi o wierze? Czytałem nieraz, że wiara jest pewniejsza niż to, co widzimy.. niż wiedza etc... ale nigdy tego nie mogłem pojąć. Czy może być pewniejszem, że Bóg jest jeden w trzech osobach, od tego, że dwa a dwa jest cztery, albo, że słońce, na które patrzę, świeci, a wiem skądinąd, że nie jestem dzięki Bogu, matołkiem i mogę sprawdzić, że mam wzrok zdrowy? Mnie się zdaje, że tu jest pewna konfuzya pojęć. Nie można rzeczy różnorodnych porównywać ze sobą. Wiara opiera się na powadze mówiącego, a więc można powiedzieć, że wiara w to, co Bóg mówi jest pewniejsza, niż to, co mówi człowiek, albo anioł, ale nie można mówić, że wiara jest pewniejsza, niż o c z y w i s t o ś ć, czy to doświadczeniem, czy rozumem nabyta.

Ustęp str. 18. »Rozróżnić należy wiarę początkową... od wiary jako cnoty chrześcijańskiej..« bardzo niejasny, a i niepotrzebny.

Przykład str. 19. z Rusinami bardzo kulawy...

Str. 22. Nie jest prawdą, że t y l k o ludzie występni usiłują niewiarą w Boga, w nieśmiertelność duszy... stłumić głos sumienia i bojaźń przyszłej kary. Niewiary mogą być i inne przyczyny.

Str. 23.: „Jesteśmy obowiązani do wyznania wiary, gdy tego wymaga chwała Boża, obrona wiary, dobro duchowe bliźnich..." Takich ogólników szkoda mówić, zwłaszcza do studentów.

Na pytanie, kiedy powinniśmy czynić znak krzyża św., odpowiada autor:.. »zwłaszcza w godzinę śmierci niechaj ostatnią naszą czynnością będzie wyznanie wiary, przeżegnaniem się« — czy to ma być obowiązek, czy pobożne tylko życzenie?

Definicya Boga: »Bóg jest to Pan nieba.. sam ze siebie — i w s z y s t k o, c o j e s t d o b r e, o d n i e g o p o c h o d z i». Ten przyczepek, nawet konstrukcyjnie nie łączy się z definicyą. Objaśnienie »sam ze siebie« wielce ciężkie — a już wprost nie można powiedzieć, że ma doskonałości swoją własną m o c ą. Przez moc rozumiemy potęgę.. znaczyłoby, że Bóg sam sobie przymioty stworzył, czy jak..

Str. 27. porusza autor kwestyę teologiczną o różnicy wirtualnej przymiotów bożych od essencyi — po co to?

Wieczność Boża u autora wypadła bardzo słabo. Wieczność obejmuje nietylko trwanie bez końca, ale i posiadanie naraz wszystkich doskonałości.

Str. 32. Argument, że jeden tylko może być Bóg, jakiś nie bardzo przekonywujący. Nie widzę, dlaczego gdyby dwie istoty we wszystkiem ze sobą się zgadzały, jedna z nich byłaby zbyteczną? Albo czemu dualizm jest lepszy od politeizmu? Wogóle ile razy autor filozoficzne przytacza dowody, prawie zawsze są one albo niedokładne, albo niejasno przedstawione — często także i jedno i drugie.

Pochodzenie Syna od Ojca i Ducha św. od obydwóch żywcem wzięte z jakiegoś teologicznego podręcznika — stąd nie dla dzieci. O analogii z pochodzeniem słowa w duszy ludzkiej, o porównaniach Ojców ani słowa — a przecież uczniom te jedynie mogłyby jakoś rzecz uprzystępnić.

O t a j e m n i c a c h wogólności, skąd się biorą... rzecz nadzwyczajnej wagi, na co można się powołać przy każdej tajemnicy, u autora bardzo mało i nie dość jasno.

O celu świata, o Opatrzności — o konserwacyi świata — rzeczy takie ważne, które na przykładach można ślicznie wytłómaczyć, u autora ledwie wspomnienie.

Różnica między darem przyrodzonym, a nadprzyrodzonem ledwie tknięta. — Do darów nadprzyrodzonych duszy zalicza autor rozum uległy Bogu, wolę poddaną Bogu... czy to są dary nadprzyrodzone? w żadnej dogmatyce tego nie znalazłem!

Sentencya, której się autor trzyma, jakoby przez to potomkowie Adama ściągnęli grzech pierworodny, że Bóg z Adamem zawarł przymierze obowiązujące i jego potomków — już dawno przez teologów zarzucona. Wogóle nauka o grzechu pierworodnym, rzecz niezmiernej wagi, słabiuteńko wyłożona, prawie tylko zaznaczona.

Na pytanie str. 47, skąd wiemy, że Pan Jezus jest Bogiem, odpowiada autor: 1) od Izajasza Proroka, 2) Od Boga Ojca. To zestawienie co najmniej dziwne!

Nauka o cudach ogólnie znowu bardzo pobieżna. Dowody Bóstwa Chrystusa, ze słów Chrystusa, ze słów Apostołów, trzeba było lepiej rozwinąć.

Na pytanie str. 48. Czem jeszcze Jezus Chrystus stwierdził, że jest Synem Bożym — odpowiada autor: świętością życia, cudami proroctwami, śmiercią, zmartwychwstaniem, wniebowstąpieniem... Ależ i zwykli ludzie bezwzględnie mówiąc, mocą Bożą, mogli to wszystko robić, lub tego doświadczyć. Trzeba było dodać, że Pan Jezus jako taki święty, nie mógł kłamać, ani na kłamstwo cuda czynić — a kiedy powoływał się na to wszystko, jako dowody swej boskości, więc było to prawdą..

W traktacie o Kościele — cechy Kościoła prawie nic objaśnione, choć przecież po cechach poznajemy i odróżniamy Kościół prawdziwy od fałszywego.. więc rzecz nadzwyczaj ważna.

Kończę na tych uwagach, bo już z nich czytelnik może poznać, jakie są braki, zdaniem mojem, książki. Brak gruntowności, no i w wielu miejscach jasności, popularnego przedstawienia rzeczy. Dlatego sądzę, że książka ks. Pilszaka nie mogłaby w gimnazyach zastąpić dogmatykę. Niechby była i forma katechizmowa podręcznika — może nawet i byłoby tak lepiej — ale musi być ten katechizm bardzo umiejętnie opracowany.

Nie odmawiam i zalet książce wspomnianej — o niektórych już mówiłem wyżej — na zakończenie dodam, że już sama myśl, aby dać uczniom w rękę katechizm z objaśnienieniami wielce jest pochwały godną, tylko, że te objaśnienia muszą być doskonalsze.

O usterkach stylowych, jak n. p. str. 20. na »której podstawie« zamiast na »jakiej«, również tamże, zamiast »właściwie« — użyte »właśnie« tautologią znać w powiedzeniu: »wiara nasza jest żywą.. gdy jej ż y w o t n o ś ć objawiamy«,. można śmiało ten wyraz opuścić itp. o takich usterkach nie mówię, bo te uważam w stosunku do wytkniętych rzeczowych, za małej wagi. Mimo tych usterek, nieodłącznych od dzieł ludzkich, zwłaszcza, kiedy sobie samemu trzeba drogę torować, bo się podobnych prac u nas mało znajdzie, książka mogłaby przynieść korzyść przy nauce religii, ale w niższem gimnazyum, w szkołach wydziałowych i seminaryach nauczycielskich.

X. Sieniatycki.





Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Ks. dr. Maciej Sieniatycki. Z drukarni katolickiej J. Chęcińskiego, pl. Bernardyński 2.